

Przetom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

<i>Dr. Witold Lewicki: Zapowiedź walki</i>	609
<i>Roman Lewandowski: Nowe malarstwo</i>	619
<i>J. Z.: Kronika naukowa</i>	626
<i>X.: Przeżyte—Odczute—Wydarzone</i>	629

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.

WIEDEN.

Skład główny we Wiedniu w księgarni Wilh. Frick, I. Graben Nr. 27
we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurowicza
w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

1895.



→ Wiedeń, dnia 5. października 1895. ←

Zapowiedź walki.

Bilans wyborów Sejmowych wogóle jest korzystny. A jednak bilans ten wykazuje upadek ludzi dzielnych, których brak w Sejmie odczuje kraj wtedy, kiedy przyjdzie do pracy się zabierać.

Brak Chrzanowskiego, tego najstarszego parlamentarzysty polskiego, znakomitego znawcy budżetu, istniej historii wszystkich usiłowań Sejmu na polu pracy ekonomicznej.

Brak Rutowskiego, jednego z najdzielniejszych pracowników, świetnego mowcy, ciętego debatteura, brak jego wiedzy europejskiej, jego fachowego wykształcenia, jego niezamordowanej pracy. brak tego pióra, które przyczyniało się do podnoszenia poziomu prac Sejmowych i tego słowa, w którym drgały najwyższe nuty miłości Ojczyzny, a które zawsze było użyte na poparcie sprawy postępu.

Brak Zolla, wytrawnego znawcy spraw prawnych i administracyjnych, brak Popowskiego, najszczerzego przyjaciela ludu, znawcy spraw wojskowych europejskiej sławy, brak Czyżewicza, znakomitego referenta spraw sanitarnych, dzielnego mowcy, brak tej siły fachowej, która w obecnej chwili rozszerzania ustawy o okręgach sanitarnych pierwszorzędne oddaćby mogła usługi.

Upadli nie w mężkiej walce o zasady, ale upadli w tem borykaniu się z psotą, która na złość dziecinną wysunęła za-

ściankowe wielkości, padli przeciw miernotom, padli w walce z tą aurą popularis, która się czepia byle kogo, czepiałaby się pieńka sośniny, cienia, babskiego lata . .

Figury, które swą popularność zawdzięczają impasom w wiście, lub licytacyi w mieście, swą wiedzę zasadzają na łapaniu pagata ultimo, odnoszą zwycięstwo nad ludźmi, którzy całe życie, zdrowie, majątek, poświęcili nauce, studjom, lub ciężkiej pracy publicznej.

Zpracuj się, stargaj siły, zszargaj zdrowie, zaprzepać szczęście osobiste, zmarnuj życie, zamęcz się troską nie swoją, ani twojego domu, ale troską nad dolą i pomyślnością tego, co najbardziej ukochał, co ci jest wiarą swoją i światłem twojem i szczęściem twojem i życiem twojem, tego co każdy Polak nad wszystko ukochał, a dość, by pierwszy lepszy szarlatan polityczny krzyknął na rynku, żeś zdrajca, uwierzą mu i tłum ci wycę będzie: „hańba“!

Ileż to takich tragedij, cichych jak grób, nie kryją dzieje nazszych dziś wielkich i wielbionych — umarłych i żywych.

„Nasz to obyczaj cieni w życia przeciagu
Kłaść im na głowę; wieniec na posagu.“

* . * *

Miasta nasze prowincjonalne, zamiast zasilić Sejm siłami zdolnymi do pracy, ludźmi energicznymi z wykształceniem nowożytnem, z wiedzą fachową, powysyłały emerytów.

Inaczej wybierała większa własność. Szlachta wysyłała kwiat swojej inteligencji. I istotnie, gdyby w niczem innym, to w tej polityce rozumu, kurya większej własności w Galicyi znajduje swą rację bytu.

Ponad wszystkie zaś wybiega kurya większej własności ziemi krakowskiej. Wybrała do Sejmu mężów najwybitniejszych i dała dowód wielkiego rozumu, wprowadzając się nową, młodą i bardzo ceną.

Dr. Piotr Górski będzie mógł w Sejmie wprowadzić swoje myśli o reformie gminnej, na którą czekamy z upragnieniem, a poparcie jakie znalazł, kandydując na podstawie swych

wniosków o reformie gminnej, pozwala dobrze wróżyć załatwieniu tej najważniejszej sprawy w przyszłym Sejmie.

Wybory w kuryi większej własności ziemi krakowskiej miały jeszcze inne donioślejsze znaczenie. Tam została wypowiedziana walka — radykalizmowi.

Wiemy skąd ten wiatr leci. I chcemy wierzyć, że za głosami najpoważniejszymi, które się ozwały na Sejmiku ziemi krakowskiej, pójdzie i Sejm, a za Sejmem cała opinia kraju. Głosy to zbyt ważne, abyśmy my właśnie, którzy może nie ostatni przeciw temu kierunkowi politycznemu walczyli, mogli je milczeniem pominąć. Podajemy więc jako dokument głosy panów krakowskich.

* * *

Prezydent ministrów hr. Badeni powiedział:

„Sejm ubiegły kilka spraw ważnych rozwiązał, pchnął kraj bardzo znacznie naprzód, w kierunku kulturowego i ekonomicznego rozwoju jego, dalej uczynił zadość słusznym, uzasadnionym i rzeczywistym potrzebom narodowości drugiej, będącej w tym Sejmie w mniejszości, a w końcu pamiętał także o potrzebie zbliżania do siebie wszystkich warstw społecznych, owianych tem samym poczuciem obowiązku tak pod względem państwowym, jak i narodowym i usiłował w końcu nie dopuszczać między te warstwy intruzów, występujących jako element burzący, wicherzący, jako afirmacya negacyi, ubranej w wilczą skórę nieproszonego opiekuna i obrońcy przed urojonym, bezczelnie zmyślnym i wogóle nie istniejącym nieprzyjacielem.

Ukończone dopiero co wybory wykazały, że wicherzenia te nie wiele dotąd skutku odniosły i że mało gruntu zyskały, a chociaż daleki jestem od odmawiania pod tym względem zasługi obywatelom tak większej, jak mniejszej własności, niemniej bardzo licznym elementom miejskim, to jednak zaprzeczyć się nie da, że Sejm ubiegły niejedną położył podwalinę pod ten gmach wzajemnej wyrozumiałości, szacunku i zaufania, a po rezultacie dotychczasowych wyborów, z góry przewidzieć można, że gmach ten dalej wznosić się będzie ku ogólnemu wzajemnemu pożytkowi, byleśmy ręk nie opuszczali i na obranej drodze wytrwali.

Wybory odbywały się swobodnie, a nie mówię już o legalności, bo ta absolutnie wszędzie istniała. Terroryzm

usiłowano wprowadzić jako czynnik agitacyjny i nawet w niejednym miejscu to się udało, ale będzie to dla nas nauką, by na przyszłość i przed tym środkiem się chronić. Rzecz dziwna, że krzyczały na terroryzm te elementa, które same wyłączenie w grę go wprowadzały. Powiedziałem, że to rzecz dziwna, chociaż właściwie tak nie jest, bo doświadczenie moje, a mam go nie mało, mnie uczy, że to sztuczka, którą pewne elementa zawsze używać usiłują, że się krzyczy głośno, zarzucając drugiemu to, co się samemu z nietęgiem powodzeniem próbuje. Krzyk ten ma zwykle dwa źródła, pochodzi on najpierw z chęci zakrycia tego, co się samemu robi, a dalej ze złego humoru, że spaliło na panewce, i że się swą własną niemoc Bogu dzięki przed światem odkryło.

Nie mogłem sobie odmówić tej drobnej wycieczki najpierw, by Szanownym Panom dodać otuchy, po drugie, by zaznaczyć, że wszystkie pogłoski o jakiejś systematycznej nielegalności są urojone, a w końcu, bo słowa te, padające z ust moich muszą być oparte nie na wrażeniach, nie na przypuszczeniach, lecz na dokładnej znajomości stosunków i ludzi i na prawdziwej wiadomości o przebiegu całej akcji wyborczej.“

Słowa te stanąć muszą za czyny. Z tego miejsca i z tych ust słowa te są nietylko odparciem zarzutów, ciskanych na administracyą Galicyi, ale są poniekąd wskazówką i programem na przyszłość. Jeżeli z powodu tych słów „Arbeiter-Zeitung w bezsilnej złości napada na wszystko co polskie, to rozumiem zupełnie ten atak nieprzyjaciela, czego jednak nie rozumiem, to tego, jakie narodowe pobudki pchnęły lwowski organ radykałów do dęcia w dudy socyalistyczne.

* * *

Objawom radykalizmu w naszym kraju poświęcił znaczną część swej trafnej mowy JE. poseł Madeyski. Zastanawiał się on głównie nad genezą dzisiejszego ruchu radykalnego w Galicyi i wypowiedział szereg głębokich i uwagi godnych myśli o „skutecznym rad sposobie“ w obronie dzisiejszego porządku rzeczy.

„Ruch, dążący do ulepszenia ekonomiczno-społecznych stosunków i urzędzeń, ogarnął dziś cały świat cywilizowany i góruje w życiu publicznem. Każdy większy ruch postępowy ma tę właściwość, że w pierwszej chwili występuje z pewnym impetem i widzi

teraźniejszość zanadto ponuro, a przy-złość zanadto różowo. A gdy chodzi o los szerokich warstw ludności prostszej i niezamożnej, wtedy fanatyzm i przewrotność łatwo go pochwycą, ażeby mu nadać kształty przesadne, formy ostre, kierunki radykalne.

W naszym kraju dla różnych przyczyn, na które składały się długie lata, stosunki z wielu względów inaczej się ułożyły, aniżeli dalej na Zachodzie. Ale błędem jest wielkim, lekce-ważyć ruchy radykalne dlatego, że ich prądy dochodzą nas nieco później, lub u nas dopiero zmieniają kierunki. Przeciwnie rozpoznać je należy tam, gdzie są i korzystać z doświadczenia innych, a i o tem pamiętać należy, że jakkolwiek kierunki radykalne są rozliczne, mają one wszystkie pewne cechy wspólne, które w walce ze społeczeństwem łączą je w jeden obóz radykalizmu.

Otóż należy jasno stwierdzić dwie okoliczności. Po pierwsze: że radykalizm dla każdego społeczeństwa jest niebezpieczny; po drugie: że radykalizm nie rośnie nigdy własną siłą, lecz brakiem energii samego społeczeństwa.

Co się tyczy niebezpieczeństwa radykalizmu, to nie polega ono w obawie o bezpośrednie materialne szkody, bo każdy radykalizm jest tak nie racjonalny, że to, co obiecuje, do wykonania nie jest możliwe. I być może, że dlatego właśnie ludzie praktyczni często go lekceważą. Jego niebezpieczeństwo polega na spustoszeniach moralnych, które szerzy. On mianowicie niszczy te moralne pierwiastki, które wiążą jednostki w społeczeństwa i narody.

I tak zasadą, którą radykalizm stawia w dobrej czy w złej wierze, jest wolność i równość. I to słomaczy, dlaczego odrazu sympatyczny jest umysłem łatwowiernym i płytkim, a dlaczego czepiają się go ludzie bałamutni, malkontenci i przewrotni. Ale wolność i równość radykalizm pojmuje w sposób czysto mechaniczny. Wolność w znaczeniu radykalnem to znaczy prawo zrzucania z siebie wszelakich więzów, a więc i tych, które wynikają z obowiązków etyki — znaczy to zaprzeczenie tych pierwiastków, na których stoi społeczeństwo, naród. Równość — to znaczy arytmetyczne zrównanie jednostek ludzkich bez względu na ich wewnętrzną wartość w rzeczywistości nierówną — to zaprzeczenie indywidualności, wartości osobistej, cnoty, zasługi, powagi — a więc tych pierwiastków, na których stoi cywilizacja.

Radykalizm — to panowanie przypadku. Jego zasadą cyfra, istotą negacya, skutkiem destrukcyja.

W tem leży jego niebezpieczeństwo.

Należałem do tych, którzy przy każdej sposobności społeczeństwo do odporu nawoływali. Odporu należytego nie było. Brak energii społeczeństwa pomnożył siły radykalizmu. Niechże więc teraz rozpocznie się walka śmiała i stateczna. Potrzeba naprzód wprost obrony. Tę podjąć powinny rząd i władze, ale i społeczeństwo samo — każdy na swoim posterunku. Między stronnictwa role rozkładają się same z siebie. Każde bowiem zwalczać powinno ten ekstrem, który jego właśnie zasad nadużywa. Nikt nie zwalczy skuteczniej ekstremu demokratyczno-ludowego, jak uczciwy demokrata sam. Nikt ekstremu chrześcijańsko-socjalnego, jak obóz konserwatywny z duchowieństwem.

Jeżeli się nie mylę, to na ruch t. zw. chrześcijańsko-socjalny za mało się wogóle zwraca uwagi. Idea chrześcijańsko-socjalna sama w sobie, pojmowana tak, jak ją ujęły głębokie myśli bulli papieskiej *Rerum novarum*, niezawodnie jest zdrową, żywotną i musi w przyszłości wydać zbawienne owoce. — Lecz dotąd idea ta w Austrii nigdzie się jeszcze nie skryształizowała, ani nie wydała z siebie poważnego stronnictwa, ani nie wpłynęła formalnie na zmianę dawnych stronnictw, które jakkolwiek zmieniły się warunki ich powstania, trzymają się dawnych firm swoich, wywołując przez to wiele nieporozumienia w pracy publicznej i politycznej. Dotąd tylko śmiało jednostki bądź fanatyczne, bądź szarlatanijskie, nadużyły cynicznie świętości nauki Chrystusa na to, ażeby powagą chrześcijańskiego hasła otworzyć sobie serca prostaczków i rzucić tam podstępnie jad waśni społecznej i buntu przeciwko wszelkiej powadze. Tej podziemnej roboty, w której dla użytku naszego kraju nadużyto firmy „katolicko-ludowej“ nie można lekceważyć, bo jad, wszczepiony w serca wierzących, bez ich woli może działać zabójczo. Owszem śmiało i stanowczo zwalczać ją należy.

Alte prócz obrony potrzebna jest i praca dodatnia. Ta powinna się skierować przede wszystkim do tego, co zdolne jest węzy społeczne zacieśnić, a organizm narodowy umocnić. W tej mierze jedno jest zadanie pierwszorzędne, które Sejm nasz będzie miał do spełnienia, mianowicie: reforma gminna. Każdy z nas wie, że to zadanie bardzo trudne, zwłaszcza że stosunki dotyczące w różnych częściach kraju nie są jednakowe. I tych sprach Sejm dotąd nie spuszczał z oka. On wyrabiał i zbliżał różniące się między sobą wyobrażenia i opinie. Miejmy nadzieję, że w najbliższym okresie Sejm i tego dzieła tak trudnego, a tak ważnego szczęśliwie dokona.

Na tensam temat mówił Hr. St. Tarnowski:

„Ta anarchia w umysłach i sumieniach, która w różnych stopniach i formach, ale wszędzie objawia się w państwach euro-

pejskich, naprawić się może jedynie przez sprostowanie pojęć, przez odróżnienie wolności od bezkarności, przez ochronę i zabezpieczenie jednej, a ukrócenie drugiej i przez ustawy na rozróżnieniu oparte. Ale to nie zależy od nas, ani od naszego Sejmu. A tymczasem złe szerzy się u nas, i przygotowuje, po części już osiąga społeczny rozkład i polityczną niemoc kraju. Postępy złego, jego oznaki widoczne przy obecnych wyborach, dały do myślenia, i takim nawet, którzy sami niedawno dawali zły przykład i prowadzili na złą drogę; utworzyli im oczy na to, co niebacznie robili.

W społeczeństwie, w kraju całym, po za Sejmem, możemy się strzedz tej bezczynności i opieszałości, która złe widzi i rozumie, ale przeciw niemu nie działa. Ale jak wspomnę, że nieraz zabieraliśmy się i zawiązywaliśmy ochoczo do takiego oporu przeciw dążnościom szkodliwym, a tego oporu nie stawiali przez brak spójności i ciągłości w działaniu, jak popatrzę na ścisłość, dokładność, sprężystość, z jaką inne stronnictwa popierają swoje cele, i porównam ją z naszą wygodną bezczynnością, wyznaję, że nie jestem bez obawy. Lud czytający potrzebuje rzeczy dobrych do czytania. Czy pamiętamy o tem. żeby mu takich dostarczać? czy zaopatrujemy wiejskie czytelnie w potrzebne książki i środki? czy wiemy, co się w nich czyta i dzieje? Lud myślący o sprawach krajowych, potrzebuje, żeby z nim o tych sprawach mówiono. Wędrowny komisant anarchizmu mówi, jeździ, zwołuje zebrania: my czy rozbieramy te kwestye, choćby przy sposobności w prywatnej rozmowie? Tamten prąd wzbiera w naszych oczach i wezbrał już znacznie: jeden człowiek ani kilku ludzi nie postawi mu tamy, ani go nie skieruje tak, żeby z rwącego brzegi, stał się silnym i splawnym, żeby nie klęską groził, ale pożytek i korzyść przynosił. Na to potrzeba ciągłego i wspólnego wpływu duchownych i świeckich, ciągłej znajomości tego, co lud myśli, ciągłej pamięci o tem, co on czyta, rzetelnego wnिकnienia w jego moralne, umysłowe i materialne potrzeby.

Nie jestem Katonem, ale stary, już mam prawo nudzić jak on i zawsze jedno, zawsze swoje powtarzam. Nie Carthaginem delendam, ale z gładzić raz tę miękkość i bojaźliwość, która wszystkiemu pobbłaża i na wszystko pozwala. Zdobyć się raz na uczciwą i sprawiedliwą opinię, która niepewnych ludzi trzyma w karbach. „Łotr — rządzi — bo uczciwy puścił go do sprawy.“ Gdybyśmy nie byli ludzom podejrzany folgowali, ich słuchali, trzymali i czytali ich dzienników, nie mielibyśmy dziś takich i gorszych w rękach ludu. Znosiliśmy wyuzdanie i rozpasanie w tej prasie, która przemawiała do nas

oświeconych, musimy je dziś wiedzieć i znosić w tej, która przemawia do ludu. W tych rzeczach nie poradzi nam żaden Sejm, żaden rząd, żadne prawo, jeżeli sami sobie radzić nie chcemy.

Prezydent Akademii Umiejętności mówił o szerzących się spustoszeniach moralnych. Hr. Tarnowski ma zamiłowanie do pewnych określeń, z którymi nie zawsze można się godzić. Słynny pisarz polityczny i wielki orator zbyt często używał i może nadużywał słowa *a n a r c h i a* i dlatego, kiedy dziś przyszła chwila, żeby ruch istotnie przewrotowy potępić tem słowem, grot się już stępił, słowo raz nadużyte, odmawia wrażenia. Hr. Tarnowski widział *a n a r c h i ą* tam, gdzie były tylko w najlepszej myśli podjęte *u s i ł o w a n i a n a r o d o w e*, a piętnując słowem *anarchia* dwa różnoimienne ruchy, hr. Tarnowski poza cel trafia. W umyśle hr. Tarnowskiego pewne echa grały, a on myślał, że Wojski gra jeszcze . .

Nie, Wojski już nie gra, już nawet echa nie grają. To, co dziś gra, to jest nieprzyjaciel narodu.

* * *

Jeszcze jeden głos w tej walce z radykalizmem mam do zanotowania. Nie padło ono na Sejmiku krakowskiej ziemi, ale zostało wydrukowane w liście do „Nowej Reformy“, w liście podpisanym przez Tadeusza Romanowicza. Jest to głos silny, męzki głos przestrogi. I w tej harmonii stronnictw, gotujących się do walki z radykalizmem, głos to bardzo doniosły. Pismo pana Romanowicza, umieszczone w „N. Reformie“ pod adresem Henryka Rewakowicza, dzisiejszego szefa redakcyi „Kuryera Lwowskiego“, może odnieść skutek. Słowami Gretchen odzywa się p. Romanowicz do Fausta-Rewakowicza:

„Es thut mir lang schon weh,
Dass ich dich in der Gesellschaft seh.“

„Faust“ (Scena ogrodowa).

„Heinrich! Mir graut's vor Dir!“

(Ostatnia scena w więzieniu).

Z Faustem ma p. Rewakowicz tylko wspólne imię. Ale est analogia wierna z tym duchem złym Rewakowicza, który go omotał, opanował, a nie odmlodnił. Pan Franko nie darmo

uómaczył prześlicznym językiem Fausta na język rusiński. Zna on rolę Mefista na wylot. Pan Franko jest szefem radykałów nie tylko ruskich, ale i polskich. A ta nienawiść, którą do wszystkiego co polskie zieje p. Franko, to nie jest, jak przypuszcza autor listu w „N. Reformie“, nienawiść Rusina do Polaka, to jest nienawiść radykała, to jest nienawiść socjalisty Franka do dzisiejszego porządku rzeczy w kraju.

Pan Romanowicz przedstawił, jak Dr. Franko zbeszcześcił wszystko co polskie, jak się naigrawał i pastwił nad nami w wiedeńskim tygodniku „Zeit“ od założenia swego wroga dla nas usposobionym. A przytoczywszy te ustępy p. Romanowicz pisze:

„Kiedy Dr. Iwan Franko na zgromadzeniu wyborców miasta Lwowa mnie i moim sejmowym kolegom dawał lekcje patriotyzmu — niektórzy polscy wyborcy obdarzali go hucznymi oklaskami. Niechże się dziś dowiedzą, komu i czemu te ich ówczesne oklaski dawały zachętę — niech się dowiedzą, jak ten mowca myśli o całej polskiej inteligencji! Z pod jego radykalnej powłoki nigdy może nienawiść do Polaków nie wybuchła tak gwałtownie, jak w tym artykule, w którym całą polską inteligencję obrzucił takimi obelgami, takim na nią jadem zionął, że tylko w najbardziej nam nieprzyjaznych organach moskiewskich z czemś podobnem spotkać się można.“

A teraz jasnym się staje, dlaczego Dr. Franko tak gorąco protestował przeciwko „mieszaniu się Polaków do domowych sporów Rusinów“. Będzie on tak samo protestował przeciwko wszystkiemu, co tym, przez niego tak bardzo znienawidzonym Polakom obroną stać się może lub pożytkiem; będzie tak samo doradzał wszystkiemu: co im szkodę przynieść może. Ale w tem wystąpieniu szata ruskich radykałów mamy nowy dowód, jak koniecznym jest dla Polaków odróżniać Rusina a Rusina, brata, którego bronić, a wroga, którego zwalczać należy. A to tembardziej, jeżeli ten drugi wiska się między nas w taki sposób, iż może już na nasze, polskie sprawy wpływ wywierać. Dotykam tu przykrej, bo poniekąd osobistej sprawy. Ten sam Dr. Franko, który taką ku nam pała nienawiścią, który wobec cudzoziemskich czytelników takie na nas miota obelgi — jest członkiem redakcyi polskiego pisma, którego naczelnym redaktorem jest Henryk Rewakowicz! Rzecz to ze względu na stanowisko polityczne tego redaktora bardzo smutna i bolesna, ale ze względu na sprawę narodową, której przecież pismo polskie ma służyć, bardzo niebezpieczna.

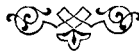
Nie moją rzeczą wdawać się w roztrząsanie sumienia pana Rewakowicza — ale sądziłem, że obowiązkiem moim było podnieść głos przestrogi. Niech on pójdzie do tych, którzy zaślepieni wspólnością radykalnych przekonań wyobrażają sobie, że nie uwłaczając swemu polskiemu patriotyzmowi, stać mogą na jednym gruncie politycznym z Drem Iwanem Franko. I niech ci, do których to należy, rozważą, czy można, czy godzi się dawać wpływ na polskie pismo i dawać codziennie głos w polskim piśmie temu, kto tak nas nienawidzi, że przed obcymi na całą polską inteligencję tak ciężkie i potwarcze miota obelgi, jak to uczynił Dr. Franko w artykule przesłanym do wiedeńskiego „Zeit“. Pismo polskie ma polskiej służyć polityce, inaczej traci rację bytu.“

* * *

Zestawiłem te głosy — najważniejsze, jakie w ubiegłym tygodniu w Galicyi padły. Wskazują one, że najlepsi w naszym społeczeństwie rozumieją, skąd idzie niebezpieczeństwo, że w ocenięciu niebezpieczeństwa zacierają się różnice partyj narodowych, że koncentracja mimowiednie się odbywa.

Tegorocznej walce przedwyborczej zawdzięcza kraj zwrot bardzo doniosły, stanowcze zerwanie z kierunkiem radykalnym. To odcięcie ogona radykalnego na dobre wyjdzie polskiej i ruskiej postępowej partyi.

Witold Lewicki.



Nowe malarstwo.

Wystawa „secesyi monachijskiej“, o której wyraziłem swoje poglądy, poruszyła zarówno publiczność, jak artystów wiedeńskich i krytykę. Wśród tego ruchu ukazała się broszura Em. Ranzoniego p. t. „Moderne Malerei“, jednego z najbardziej wykształconych i estetycznie czujących, a prawie najstarszych krytyków wiedeńskich. Jest to głos, z którym nie można się zupełnie i we wszystkich jego tonach zgodzić, ale który zasługuje na znaczenie swoją powagą i zamiłowaniem do sztuki tylko prawdziwie pięknej. W broszurze swojej, występuje Ranzoni zaraz z początku stanowczo przeciw złym dziełom sztuki, jakie coraz to częściej pojawiają się na wszystkich wystawach, a które o tyle działają szkodliwie, że lepszym obrazom zabierają miejsce, a ludzi o złem, albo niewykształconem pojęciu w ich przekonaniach utwierdzają. Broni natomiast tak często pogardliwie zbywanych miernych robót, tłumacząc to tem, że bez artystów stwarzających mierność, nie mielibyśmy prawdziwie wielkich; są oni koniecznie potrzebni, jak potrzebni są żołnierze dla wodzów. Artyści o miernym talencie wprowadzają często idee, jakie genialni ich współtowarzysze wyzyskują i siłą talentu swego zrozumiale i potężnie do oceny i przychylnego przyjęcia podają. Wszystko mierne należy do produkcji, wszystko złe — do hyperprodukcji i to powinno być wszelkimi możliwymi sposobami zguericione i odrzucone. Autor na dowód swojego twierdzenia przytacza rozmaite wypadki, gdzie jury, nie mogąc odrzucić złego obrazu z powodu wysokiej protekcji — pisała na obrazie dla swego usprawiedliwienia: Przyjęte wskutek szczególnego polecenia i t. d. Ponieważ takie napisy i sceny coraz częściej zyskiwały na potrzebie wobec złych rzeczy, ponieważ owa produkcya masy była piętnowaną, więc wytworzyła ona cabotinów (Streber), którzy z bezwzględną żarłocznością rzucili się na wszystko, co nowe i niebywałe, wołając: „usuń się i zrób mi miejsce“, chcąc tym sposobem zdobyć wejście do świątyni sztuki, wygnać i strącić zasłużonych starych bogów z ich tronów, aby siebie samych usadowić na nich. W ten sposób wywodzi autor powstanie nowego kierunku i nowatorów, dowodząc dalej, że nowatorów było i będzie zawsze dosyć, że bez nowości niemożliwym byłby postęp, ale że nie wszystko to, co nowe, jest dobre i że niektóre nowatorstwa, szczególniej te,

o jakich się najwięcej krzyczy, nie wywołują u ludzi z dobrym smakiem i rozsądnym zdaniem nic innego ponad słowo: „niebываłe“. Ale o to „niebываłe“ wszczęła się w ostatnim dziesięcioleciu walka we wszystkich artystycznych stowarzyszeniach, walka, wywołująca rozterki i secesye w Paryżu, Monachium, Berlinie, Düsseldorfie i gdzieindziej, a winą tego tylko ta ogromna nadprodukcya masy, wśród której jednostka nie może się wznieść nad poziom, nie może na siebie jakiejś takiej ściągnąć uwagi, a nawet często należnego sobie zdobyć uznania. Oprócz owej produkcyjnej masy, stoją na drodze młodych i utalentowanych artyści starzy, tak zwani dziedziczni (Erbgesessen), którzy mają już wyrobione imię i sławę. Publiczność zaś będzie zawsze po stronie tych starych, ponieważ jest ona w swoich przekonaniach konserwatywna, bardzo trudna do oddania sympatii nowym, nieznanym siłom. Ten konserwatyzm, będący szczególnie charakterystycznym właśnie u najbardziej artystycznych osobistości, jak właścicieli galerij i zbieraczy, tłumaczy Ranzoni tem, że taki pan, przez tyle a tyle lat ponosił ofiary ogromne nieraz dla zdobycia jakiejś galerji i za nią otrzymał u ludzi pochlebną nazwę „mecenasa“, znawcy, oraz miłośnika sztuki. Taki miłośnik kocha swoje obrazy i swoich mistrzów, bo jest w przekonaniu, że tylko on najlepsze ich dzieła posiada. Taki z pewnością nie będzie chwalił obrazów malarzy, malujących inaczej, niż jego ulubieńcy. Należąc do czcicieli starych, broni on nadanego sobie, czy zdobytego tytułu znawcy i miłośnika, pomimo, że w zbiorach jego wśród doskonałych rzeczy znajdują się też i lichoty, ale których nigdy żaden zbieracz obrazić nie pozwoli. Idąc w ten sposób krok za krokiem, dochodzi Ranzoni nareszcie do artystów nowego kierunku i wybiera z nich najzdolniejszych, aby całą falą słów i porównań udowodnić, że we wszystkich szkołach, tak jak na wszystkich wystawach były zawsze i to oddawna już „nowości niebываłe“, równie dobre i piękne, brzydkie lub odpychające, a nawet dziwaczne i zwaryowane — tak samo, jak i na wystawach tych, którzy się od tamtych odłączyli. Ranzoni okazuje się tutaj jako pisarz logiczny i przekonujący. Dotąd czytelnik, należący do secesjonistów, zgadza się z nim zupełnie. Powoli jednakże i nieznacznie występuje on jako obrońca gorący i zażarty wszystkiego, co stare, okazuje się do szpiku kości renesansistą i estetykiem nie uznającym najnowszych kierunków dlatego, ponieważ one „oddawna już istnieją“, a najwięksi i najgenialniejsi artyści swojego czasu byli wszyscy „secesjonistami“, bo malowali inaczej od całego tłumu otaczających ich miernych malarzy. I tu właśnie rozumiemy zagadkę, dlaczego na początku swojej broszury, tak bardzo proteguje autor masę i artystyczne miernoty. Autor powiada np.: „Czy jest taki, któryby odważył się

twierdzić, że Lenbach, Marr i Max nie mają tych samych nowoczesnych zapatrywań, co Stuck, Rochegrosse, albo Puvis de Chavannes? Być może, że taki odważny nie zgłosi się na wołanie p. Ranzoniego, ale bo też ani Lenbach, ani Marr, ani Max nie należą do „najnowszych malarzy“, o których autor zamierzał mówić i o których, przeprowadziwszy swoje tendencyjne porównania, powiada: „Nowe malarstwo ma wielką zasługę w tem, że znalazło nowe sposoby wyrażania się, przez ciągłe niezmordowane studyowanie i obcowanie z naturą“. Zanim jednak zdanie to wypowiedział, na stronie 62, zbijał wszystkimi służącemi mu argumentami dowody istnienia i potrzebę nowatorstwa także na 62 stronicach.

Artyści, których Ranzoni przytacza jako nową szkołę, są rzeczywiście doskonałymi i w tym względzie nie mamy z nim dwóch zdań. Pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę, że autor w broszurce swojej za mało przytacza nazwisk owej najnowszej szkoły najnowszego kierunku, które wprawdzie rozpoczęli w Niemczech (Uhde, Stuck, Lieberman, Herkomer i inni), ale wybiwszy się na stanowisko wielkich i genialnych mistrzów swego kierunku, nie idą dzisiaj z tą całą rzeszą młodych, młodszych i najmłodszych. W broszurce Ranzoniego za mało występuje walka przeciw młodemu kierunkowi, czuć tylko ciągłą obronę szkoły renesansowej i pewnego rodzaju protekcyjne uwzględnienie rzeczywistych mistrzów naszej szkoły, których zresztą autor ciągle porównywa ze starymi. Symbolizm, mistycyzm i przedstawianie nędzy ludzkiej, autor stanowczo potępia i nazywa to zagadkami, wyrzekając, że w ostatnich czasach, nawet wyjątkowo zdolni artyści stali się wnymi, hołdując tym obłędom. Na wystawie w Antwerpii, był obraz zwracający na siebie ogólną uwagę publiczności, a ścięty niemiłosiernie przez krytykę p. t. „Le destin et l'humanité“ malarza J. Leempoelsa. Obraz przedstawiał Boga Ojca z twarzą pooraną fałdami, patrzącą fosforyzującemi magicznem światłem oczyma, które wszędzie i wszystko widzą. Cień zakrywa usta, włosy i broda rozplywają się w czarno zieloną ciemność. Tam, gdzie obłoki dotykają ziemi, widać jasny ton zielony, przez który przebijają się złote promienie zachodzącego słońca, a jego jasność pada na tysiące rąk. Tu chodzi o całą ludzkość, która tym tysiącem rąk jest plastycznie uzmysłowiona. Autor broszury „Moderne Malerei“ nazywa to malowaną zagadką, przemądrzałą i prozaiczną sensacją, w postaci artystycznego szukania. Malowanie symbolizmu nazywa chorobliwem, a niektóre zwroty jego — zbyt daleko idącym naturalizmem. Wśród różnych przekonywających dowodów, mówi autor znowu bardzo rozumnie o tem, że jedni podnoszą świętość ponad ludzkość, a drudzy ją nietylko po ludzku, ale niżej ludzkości

traktują. W jednym z rozdziałów, w którym autor rozbiera krytycznie malarstwo nowoczesne religijne, znajdujemy bardzo wiele uwag prawdziwych, jakimi warto się podzielić.

„Ponad siebie, żaden ze śmiertelnych nie wyjdzie, a to co z jednostką — dzieje się z całym rodzajem; co niemożliwym jest człowiekowi, tego nie otrzyma i cała ludzkość. Wszystko nadzmysłowe może być zrozumiałem tylko przez uzmysłowienie, a wszystko dla nas „najwyższe“, jest tylko spotęgowanym superlatywem ludzkości.“ Jest to wcale pięknie wypowiedziane, a na dowód tego, przytacza autor słowa, że „sztuka od najdawniejszych czasów uważała za najszlachetniejsze zadanie wykonywanie idei religijnych, a kiedy Fidyasz stworzył typ Zeusa, Praksyteles Afrodyty — stworzyli Leonardo da Vinci i Rafael Madonnę i Zbawiciela, Michał Anioł — Boga Ojca i t. d. W dalszym ciągu po równani i wywodów, przychodzi autor do wniosku, że błędem jest „trywializowanie“ Olimpu, ponieważ Jowisz nie może wyglądać jak zabrudzony robotnik, Chrystus jak oglupiały pomocnik nauczyciela, Afrodyta, jak tęga dziewczka od krów, a Marya jak wyrobница, na której twarzy widać nędzę“. Tak tutaj ma autor zupełną słuszność!

Mówiąc dalej o malarstwie religijnem, unosi się autor słowami zachwyty nad Rembrandtem, Murillem i Corregiem, kończąc zdaniem, że: „kto tak wielkie malarskie doskonałości w sobie zebrał, jak oni, to może ideały religijne w codziennych szatach przedstawiać — komu innemu jednak tego nie wolno“. Z tego punktu widzenia oceniać będzie autor zawsze religijne obrazy teraz i w przyszłości. Nie przeszkadza mu to jednak wcale, aby następnie poświęcić dłuższą wzmiankę Uhdemu i rozebrać krytycznie wszystkie jego niby religijne obrazy, chwalać go jako znakomitego malarza pod względem rozdziału światłocienia i kolorytu, a co więcej, bronić go przed przeciwnikami, którzy mu zarzucają chęć nowatorstwa i sensacyi wprowadzaniem do scen religijnych — postaci wulgarnych, brzydkich i nie estetycznych. W obronie Uhdego, Ranzoni powiada: „Jestem zupełnie innego przekonania, bo gdyby powody do stworzenia tych rzeczy, rzeczywiście były tak chorobliwe, niskie i pogardy godne, nie byłyby nigdy tak silnego wywarły wrażenia, nietylko na większej części publiczności, ale i na wielu artystach i krytykach“. Nie mam zamiaru polemizować z wielkim i tak estetycznie wykształconym krytykiem, jak Ranzoni, przeciwnie, na bardzo wiele uwag jego zgadzam się zupełnie, ale dziwnem mi się przecież wydaje, że po przytoczeniu zdania o Rembrandzie, Murillu i Corregio, prawie do równi ich, wynosi Uhdego z jego wulgarnymi postaciami Chrystusa i Maryi, z tem usprawiedliwieniem, że „tworzy on z głębokiego przekonania w ten, a nie

inny sposób, a jeżeli się myli, to omyłki jego są bezwarunkowo uczciwe“. Rozdział ten kończy wyrazami, że „Bóg Ojciec i Chrystus, Zeus i Hero, muszą być podniosłą pięknoscią, kiedy w nich wierzyć mamy, a jeżeli mają być przytem i dziełami sztuki, to niema dla nich innego w tym celu środka, nad okazanie, że właśnie są temi wyjątkowemi naturami.“

Autor porusza dalej kwestyą malowania scen ujemnych z życia ludzkiego, z jakich niektórzy malarze formalny sobie spóit urządzili, aby swoim bliźnim koniecznie obrzydzić przyjemność, jaką posiadają „w tem, że żyją“. Ranzoni dowodzi, że pędzlem tych artystów nie kieruje miłość, lecz nienawiść. „Bez głębokiej, obejmującej wszystko miłości, nikt i nigdy jeszcze nie stworzył wielkiego dzieła sztuki. Tak było za czasów greckich i renesansu. Ta sama miłość, która zwraca uwagę artysty na piękno natury i człowieka, ta sama miłość wpływała i na Szekspira, kiedy tworzył swego nieśmiertelnego Falstaffa; na Cervantesa, kiedy charakteryzował Don Kiszota w taki sposób, że chociaż się z niego śmiejemy, to przecież posiada on całą naszą sympatyę, na Dickensa i wielu innych. Bez tej miłości nie stworzyłby Leonardo Mony-Lisy, Rafael „Madonny“, Michał Anioł — „Sądu ostatecznego“, Menzel Fryderyka, Defregger, Knaus i Breton swoich chłopów“. Podług Ranzoniego tworzy się więc wszystko najpiękniejsze w miłości i z miłością. Tego mu nikt nie zaprzeczy, niepotrzebnie więc na poparcie swego twierdzenia wydobywa znowu całą falangę renesansistów. Uczynił to zapewne dlatego, aby następnie powiedzieć, że rozmaitym, socyalno-demokratycznie natchnionym malarzom, o których mówi — ale których nazwisk nie przytacza — nie zbywa na talencie i na sposobach wykonania, ale na miłości. Ranzoni nazywa takich malarzy, bez względu na przyznawane im studia i wykształcenie, bez względu na talent ogromny — „półtalentami“ i wprowadza cały szereg porównań z mistrzami, jak Leonardo, albo Makart, Menzel i inni. Ostateczne twierdzenie Ranzoniego o tych malarzach jest takie, że ponieważ w życiu jest za wiele niezadowolonia, za wiele brzydoty i nieszczęść, przeto artyści malujący to wszystko, nie rozumieją zadania sztuki, która powstała z miłości i radości nad pięknem i która ma człowiekowi podawać to tylko, co jego umysł podnosić i uszlachetniać powinno. W dalszym ciągu swoich spostrzeżeń nad nowem malarstwem zajmuje się autor akademiami sztuk pięknych jako szkołami. Oddawna mają te instytucye fatalną markę między najlepszymi artystami, a są tacy, którzy otwarcie głoszą ich szkodliwość dla rozwoju sztuki. Kto wie, czy nie mają oni słuszności. Taki np. Overbek uznany został za człowieka bez talentu, Menzel nie mógł pozostać w akademii dla swych „nowych“ idei, Makart, Gabryel Max, Munkaczy, Matejko, Canon

wszyscy oni opuścili akademie i samodzielnie we własnym kierunku się wykształcili. Ranzoni bardzo dobrze tłumaczy te wypadki dowodami, że ci artyści, obdarzeni ogromnym talentem, od samego początku mieli już silnie rozwiniętą indywidualność własną i mieli siłę woli pójścia własną drogą. „Żadna szkoła na świecie nie fabrykuje geniuszów, ale każda może wychować uzdolnionych i może podać sposoby i podstawę do dalszej samodzielnej pracy“, powiada słusznie Ranzoni. W ostatnim rozdziale swojej pracy rozbiera autor rozmaite broszury i pisma, które dowodzą konieczności nowego kierunku w sztuce, oraz tego, że do krytyki należy pouczanie publiczności, jak trzeba rozumieć, pojmować i oceniać to, co jest „modern“. Ponieważ pisma te i broszury biorą stronę modernistów, a ganią publiczność, która udaje znawstwo, chodzi bezmyślnie po galeriach i gapi się przy nowych obrazach, albo krytykuje na swój sposób wszystko, czego nie rozumie, przeto p. Ranzoni bierze publiczność tę w obronę przed „bardzo młodymi ludźmi, którzy dlatego tak silnych słów i zwrotów używają, iż czują sami, że większość ich dowodów na chwiejnych stoi nogach, a ponieważ nikt na nich nie zwraca uwagi — rzucają się na „tak zwaną“ inteligentną i wykształconą publiczność i t. d.“ Dlaczego autor broni tak bardzo publiczności — tego, dalibóg, nie rozumiem, a zrozumiałem przecież doskonale, że w całej broszurze, choć nie mówi o nowem malarstwie, to bierze w obronę to, co już jest i zostało przez mistrzów odrodzenia, jako dogmat sztuki postawione. Publiczność jest wprawdzie, jak powiada autor, „ein grosser Herr“, wielki pan, ale ten pan ma tyłu w krytyce zauszników, że rzeczywiście nie wie, co jest dobre, co złe, co nowe, a co stare, a ponieważ jak każdy malarz inaczej maluje i każdy krytyk krytykuje, tak samo i ten „wielki pan-publiczność“ czyni, to znaczy: każdy z niej czego innego żąda, bo mu się co innego podoba! I rzeczywiście, ci artyści, którzy żądają od inteligentnych, fachowych krytyków pouczania publiczności o kierunkach sztuki i jej wymaganiach, mają zupełną słuszność, gdyż w końcu doszłoby do tego, że każdy nowy obraz, każdy nowy kierunek w sztuce, chociażby był najlepszy, uznanym by został przez publiczność za nędzotę; ponieważ nie jest zrobiony na modłę malarstwa z czasów renesansu. Ranzoni dowodzi np., że „publiczność ma tysiącletnie doświadczenie, i że w tym długim czasie milionami serc odczuwała, milionami oczów patrzyła i uszami słyszała, a milionami głów myślała, rozumiała i oceniała. Dlatego też publiczność znaczy „wszyscy razem“, którzy mają to słuszne prawo, aby wobec czegoś niebywałego, nowego zachować się, z całą ostrożnością, a nawet z niedowierzaniem i t. d. Jest to przekonanie osobiste p. Ranzoniego, a ponieważ zawsze cenię cudze zapatrywania, przyznaję mu słuszność,

wyrażając równocześnie, że i ja, choć „młody“, mam swoje zapartywania i przekonania — wprost przeciwne. Publiczność bowiem jest taka młoda jak i artyści, którzy wespół niej się rodzą i z nią razem idąc, dochodzą lat i znaczenia. Publiczność ta daje się zawsze nauczyć czegoś nowego i chociaż powoli bardzo, ale każdy postęp i nowatorstwo zrozumie — przyjmując je, albo odrzucając, często nawet bez serca i miłosierdzia i bez zwracania uwagi na krytyków. Wie o tem doskonale i autor „Moderne Malerei“, ponieważ na samym końcu swoich, ogólnie biorąc, bardzo dobrych spostrzeżeń, pisze dosłownie:

„Publiczność, która jak i artyści złożona jest z wodzirejów i wodzonych, stała się w ostatnich czasach¹⁾ chwiejną i niepewną w swoim wyrokowaniu, a nie można się temu dziwić, gdyż przodujący, w których pokładała zaufanie, różnią się często w swoim zdaniu i to nieraz w najważniejszych sprawach, co tembardziej się uwidocznia, że ze sobą polemizują i w wyrażeniach przesadzają. Ale niektóre tylko osobistości mają prawo do stanowczego sądu i na nie właśnie zwraca swoje oczy większość, dla dowiedzenia się, jakiemu dziełu ma swoją uwagę poświęcić, a jakie ominąć.“

Otóż zdaniem tem, autor stara się utrzymać, względnie wmówić w publiczność i artystów istnienie i władzę pewnych mających wyrobione imię przodowników-krytyków, od których wyroku wszystko w sprawach sztuki zależy: kierunek, artysta i jego dzieło. Całość uwag w broszurze Ranzoniego ma bardzo wiele godnego uwagi, szczególnie pod względem estetycznym i pod względem prawdziwego piękna w sztuce. Napisaną ona została w chwili wielkiego powodzenia „secesjonistów“, a chociaż Ranzoni nie uznaje ich „nowości“ dlatego, że „wszyscy wiele artyści już przed nimi byli secesjonistami, każdy w swoim rodzaju, a każdy genialnym“, to zdaniem mojem broszurę tę powinien wraz z publicznością i każdy artysta poznać, bo się z niej wiele nauczyć może, chociażby z samych paralel, jakie autor uadzwyczaj zrecznie nakreśla między artystami z epoki Odrodzenia, a malarzami z kierunku secesjonistycznego.

Roman Lewandowski.



¹⁾ Trzeba tu rozumieć czas powstania secesyi w Monachium, oraz czas wystawy jej obrazów w Wiedniu.

KRONIKA NAUKOWA.

Ludwik Pasteur. W miejscowości Garges pod Paryżem, na folwarku Villeneuve l'Etang, gdzie zwykł spędzać lato, zamieszkując niski wiejski domek, umarł 28. września Ludwik Pasteur w 73. roku życia. Życiorys wielkiego uczonego podały pisma codzienne; nam wypada się zastanowić nad jego działalnością naukową, nad znaczeniem, jakie posiadają jego prace, poświęcone badaniu przyrody.

Pasteur był z „zawodu“ chemikiem; pierwsze prace, które mu zjednały rozgłos, odnosiły się do polaryzacji światła w pewnych kwasach. Wpływ, jaki wywierają niektóre grzybki na kierunek światła polaryzowanego, stał się dla Pasteura pobudką do poszukiwań, uwieńczonech odkryciem, które na zawsze wslawiło imię uczonego. Pasteur rozprószył ciemności, któremi dotąd otoczony był proces fermentacji. Najślynniejsi chemicy nadaremno usiłowali byli zbadać, na czem polega fermentacja, wytwarzająca alkohol; starania Liebiga i Berzeliusa pozostały były bez skutku; dopiero Pasteur dowiódł, że proces fermentacji zawisłym jest od obecności pewnych grzybków. Fermentacja każdego płynu wysokowego, piwa, wina, octu, polega, jak wykazał Pasteur, na obecności innego rodzaju grzybków. Odkrycie to, doniosłe niezmiernie pod względem teoretycznym, niemniej ważnem się okazało w zastosowaniu do wszystkich gałęzi przemysłu, opartych na fermentacji. Dopiero dzięki badaniom Pasteura browarnictwo i gorzelnictwo stanęło na podstawach naukowych.

Drugim wiekopomnem odkryciem Pasteura było stwierdzenie faktu, iż rozkład organicznych ciał polega również na obecności mikroskopijnych pasożytów. Na drodze wskazanej tym faktem udało się Pasteurowi podać skuteczne środki ku zwal-

czeniu choroby jedwabników, wyrządzającej wówczas olbrzymie szkody w południowej Francji i w północnych Włoszech. Dotyczące odkrycie Pasteura zastosował angielski lekarz Lister do organizmu ludzkiego, zaprowadzając antyseptyczne metody w chirurgii; Pasteur sam zaś korzystał z dokonanego przez siebie odkrycia, wynajdując na jego podstawie szczepienie ochronne przeciwko zarazie węglikowej i wścieklicznie. Wynik badań, dotyczących się zapobiegania wścieklicznie, przedstawił Pasteur po raz pierwszy na międzynarodowym zjeździe lekarskim w Kopenhadze, dnia 10. sierpnia 1884 r. Prace Kocha, jakoteż cały kierunek bakteryologiczny we współczesnej medycynie mają swój początek w odkryciach Pasteura. W świeżej jeszcze pamięci jest wynalezienie środka anti-dyfteryjnego, dokonane przez Dra Roux, pracującego w zakładzie paryskim Pasteura.

Wymienione zdobycze zmarłego uczonego rozniosły jego sławę po całym świecie, dzięki doniosłości zastosowań, jakie znalazły w praktyce. Ale Pasteur zabrał też głos w sprawie czysto teoretycznej, w kwestyi teorii samorodztwa i przenikliwości swoją ją raz na zawsze rozstrzygnął. Rzecz to ważna, a mówiąc o zasługach naukowych Pasteura, trudno o niej przemilczeć.

Teorya samorodztwa (*generatio aequivoca sive spontanea*) twierdzi, że niektóre zwierzęta, mianowicie infuzorya i t. p., powstawać mogą mimo nieobecności zwierząt tego samego rodzaju, od których by pochodziły; że zatem powstają bądź z ciał nieorganicznych (*autogonia*), bądź z ustrojów roślinnych (*plasmogonia*), bądź przy rozkładzie ciał zwierzęcych (*nekrobioza*). Teorya samorodztwa jest przeciwieństwem teoryi, streszczającej się w słowach Harvey'a „*omne vivum ex ovo*“. Uznanie samorodztwa jest prawie koniecznem dla zwolenników teoryi ewolucyi w tej formie, w jakiej ją postawił Darwin; tak dalece, że bez samorodztwa Darwinizm chroma, nie mogąc wytłómaczyć powstanie najniższych organizmów. Otóż w bieżącym stuleciu angielski uczoney Bastian i francuski fizyk Pouchet mieli, iż są w stanie na drodze eksperymentu dowieść istnienia samorodztwa. Pasteur zaś wykazał w ich doświadczeniach pewne braki; wykazał mianowicie, że posługując się warstwą żywego srebra w celu odgraniczenia naczyń, w których powstawały zarodki organizmów, od powietrza je otaczających, nie uwzględnili, iż w pyłku, znajdującym się na powierzchni żywego srebra, zawarte były miliony bakterij, z których rozwinęły się owe organizmy, powstałe zdaniem Bastiana i Poucheta rzekomo na drodze samorodztwa. Dotyczące doświadczenia Pasteura zmusiły

zwolenników Darwinizmu do stawiania innych teoryj w celu wytłómaczenia, skąd się wzięły pierwsze zarodki życia organicznego na ziemi; podjęli się tego zadania między innymi Thomson i Preyer.

Ktoby pragnął bliżej się zapoznać z żywotem i działalnością naukową Pasteura, znajdzie niejedną ciekawą szczegół w biografii, napisanej przez pana Valery Radot, zięcia uczonego, pod tytułem: „Pasteur, histoire d'un savant par un ignorant“. (London, Longmans, Green et Comp. 1885.)

J. Z.



Przeżyte — Odczute — Wydarzone.

(Ciąg dalszy.)

„O myśli moja twórcza! gdzie tobie iść w drogę?
„Ojczyzna cię zakieła na zawsze w swe koło ...

Ujejski.

O, niedolo!

I.

We drzwiach mojej celi znajdowało się okienko wielkości trzygroszniaka, służące mi za obserwatorium. W pewnych godzinach dnia gromadnie przesuwały się przed niem aresztantki, których postacie śledziłam z zajęciem. Czasem znowu przechodziła któraś samotnie, najczęściej była nią deżurna, ale zdarzało się to i innym. Z tych jedna szczególnie zajmowała mnie bardzo. Gdy usłyszałam w korytarzu mierzone jej kroki, natychmiast biegłam do okienka, by przeprowadzać ją wzrokiem, bo nie powszednią była postacią i widokiem swoim dostarczała mi materiału do najróżnorodniejszych przypuszczeń.

Wysoka, chuda, wyprostowana, jak automat stąpająca, na gładkich jak deska plecach miała ohydną siermięgę, z wszytą na samym środku plec żółtą łata. Spytałam dozorcę, dlaczego u niej jednej widzę taką; odpowiedział mi, że oznaczone są niemi te z aresztantek, które wyrokiem sądowym skazane już zostały do ciężkich robót, na wygnanie w dalekie pustkowia, o którym sama myśl dreszczem przejmuje. Za co skazana? jaką popełniła zbrodnię? O to już nie pytałam dozorcę ...

Ciekawość moja — jeżeli wogóle ciekawością nazwać można zajęcie, jakie we mnie budziła ta kobieta — zaostrzyła się jeszcze, gdy dnia pewnego, będąc na przechadzce, spotkałam powracającą z cerkwi aresztantki. Wyróżniła się ona pomiędzy niemi wzrostem, postawą, noszeniem głowy, nieco naprzd podanej, jakby wyciągniętej ku czemuś, co tylko tej nieszczęsnej widzialne. Spojrzałam jej w twarz: rysy wyraziste i ostre, usta

surowym, cierpkim bólem zaciśnięte, wzrok przed siebie utkwiony, wpatrzony uparcie . . . w co? W przeszłość — zapewne zbrodniczą? czy też w czekającą ją przyszłość — ciężkich robót i dożywotniego w dziką, bezludną głuszę wygnania?

Jeżeli większość aresztantek nosi na sobie cechę zwyrodnienia fizycznego, które może niepoczytalnemi je czynić, to ta — zdrowa, przepysśnie zbudowana, z piętnem i siły i woli na twarzy — wiedziała, co i dlaczego robi i świadome przestępstwo popełniła. Może nawet walczyła — myślałam — może łamała się z tą mocą złowrogą, która ją popychała do zbrodni? Jakiej uległa pobudce? czy tkwiła ona w niej samej, czy też narzuconą została kobiecie? A jeżeli tak, to przez co? przez kogo? Czy przez nieszczęsny zbieg okoliczności, czy przez nieprzewycięzoną, nadewszystko silniejszą pokusę namiętności? . . .

Pytania te spokoju mi nie dawały . . . Postać nieszczęśliwej ciągle mi stała na oczach, kroki jej rozlegały się w moich uszach, myśl krążyła nieustannie . . .

Raz sprzątano mi celę, a ja stałam za progiem jej w korytarzu i mówiłam coś właśnie po polsku do deżurnej mojej rodaczki, gdy przeszła koło nas skazana. Słyszając mnie mówiącą, całą sztywną, ponurą postacią swoją żywo zwróciła się w naszą stronę, przystanąła, otworzyła usta, jakby powiedzieć coś chciała, lecz uprzedziła ją gadatliwa Julka.

— To także Polka — szepnęła — z tych Polaków, co to ruscy . . .

— Co też ty pleciesz! — obruszyłam się na dziewczynę — Polaków „ruskich“ niema.

— Pono są, proszę paniusi — upierała się Julka — z Polski są rodem, ale ruskiej wiary.

Zaczęłam rozumieć, o co Julce chodzi: widocznie Unitką musiała być niegdyś kobieta, której powierzchowność tak silnie przyciągała moją uwagę.

Jakoż w istocie tak było. Usłyszałam to potem z własnych jej ust, gdy pewnego dnia, korzystając z zamieszania ogólnych na wyższe piętro przenosin, zajrzała do mojej celi. Widoczną było rzeczą, że potrzebowała zrzucić sobie z serca ciężar, który je boleśnie ugniatał, bo parę słów obojętnych ze mną zamieniwszy, wnet opowiadać mi zaczęła historję swoją.

Opowiadanie to, wówczas i potem nieraz jeszcze przywane, uzupełniła mi jednak do tyła, że nieledwie własnemi jej słowy powtórzyć mogę żalosaną tę powieść, tragicznem zakończoną rozwiązaniem.

. . . „Z nad Buga jestem rodem — mówiła — gospodarska córka, z rodu oddawna we wsi naszej osiadłego . . . Unitką

mnie ochrzcieli, bo tak od pradziadów w rodzie naszym bywało, alem na polskiej modliła się książce i polską mówiłam mową, i ze wszystkim po polsku wierzyłam, bo taki w chacie był u nas obyczaj. Ze czternaście lat miałam, kiedy po śmierci starego parocha nastał nowy, ze wszystkim inaczej odziany i jał gadać, że wiary naszej nie znamy, żeśmy od prawdziwej z Polaków wiary odstali, a ta prawdziwa, to nie inna, jeno prawosławie święte. Zaczął też i nowe wprowadzać obyczaje, inaczej nabożeństwo nam prawić, polskich pieśni śpiewać w cerkwi zabraniał, na polskie książki do nabożeństwa pluł ze złością. Jednym było to wszystko równo, ale ojciec mój i brat starszy, wdowiec, na własnym już gospodarstwie siedzący, nie dali się zmamić tem gadaniem i jak dawniej, po swojemu, chwalili Boga. Musi wie pani, jak potem z nami było, jak zaczęło się gonienie, z syłki, jak szliśmy z chat naszych, od gruntu i chudoby, w cudzą ziemię na komorne, na kąty... Podobno aż w gazetach o tem pisali? Poszli z innymi brat i ojciec i mnie z sobą zabrali w oną drogę. Grosza, dziękować Bogu, był zapas, nie zazналиśmy biedy w tej czużynie, jeno żarła nas tęsknota za polem naszym i chałupą i sadzikiem, i za ludźmi swoimi... i za oną mową, co niby do tutejszej podobna, a przecie inna wcale...

Póki żył ojciec, trzymaliśmy się twardo swego i bronili tęsknocie, jak złemu... Bywało, gdy bardzo już smutno, gdy brat się zasępi i ponuro patrzeć zacznie, a spluć po kątach i za czapką z podelba się oglądać, gdy ja chodzę po izbie jak nieswoja, to ojciec popatrzy na nas, westchnie, siwą brodę pogładzi raz i drugi, szkaplerze wyjmie z za koszuli i pobożnie usta do nich przyłoży, a potem przeżegna nas i siebie Krzyżem świętym i drżącym już od wieku głosem zawiedzie: „Kto się w opiekę!“... Wtedy my na kolana padniemy i lzy nam jak groch się sypią i Wasyl w piersi się bije i zdaje nam się, że ot! tuż nad głowami szumi nam grusza nasza, a stara cerkiewka tuż, tuż, blisko i śpiewy z niej biją i światłość... A potem lżej nam zaraz na sercu i dziękując, podejmiemy ojca za kolana...

Tak nam przeszło lat parę...

Na wiosnę już się miało, kiedy umarł nam ojciec... „A pamiętaj, Wasyl — dyszał przed samem skonaniem — wiary pilnuj, jak oka w głowie... I ty, Maryna, także... Pilnuj, strzeż, broń... Obojgu wam przykazuję... Słyszycie? Obojgu“.

Ale co to gadać! Po śmierci Ojca nie to już było, co za niego. Wasyl zasępił się coraz częściej, za czapkę brał i coraz częściej do karczmy zachodził i choć niby na tutejszą wiarę

nie przystał, to nie było widać, czy ma swoją czy nie... Wszystko w gorzałce utopił! Dla mnie dobry był zawsze, ani słowa! Czasami, gdy podpily do chaty wrócił, to niby nie patrzył na mnie, a przecie z żalością trząśł głową i mruzczał: „Zmarnujesz ty się tu, Maryna! Wracaj już chyba do wioski, albo co? Weźmie cię swój... zawsze-ć to lepiej...“ Alem ja wracać nie chciała, bo siedmnaste szło mi lato i zalecał się do mnie młody, przystojny p o d r a d c z y k, o którym mówili ludzie, że pieniądze same w garść mu idą. Dobijały się o niego dziewczęta, ale on tylko na mnie patrzył... nie było komu zabronić, a namawiali wszyscy... Wasyl gniewał się, rzucał, odgrażał, ale coraz częściej bywał teraz pijany, więc i nie zważałam na niego...

Cóż, że Tymofiej innej wiary — myślałam — nie wyrzeknę się swojej dla niego. W polskiej żyć będę i umrę... Głupia byłam jeszcze, widzi pani! a przytem i zadržona krzywą w Tymofieju i chciwa tych wielkich dostatków, które mi obiecywał... „Pański przydziewek nosić będziesz — mawiał do mnie — czarnej roboty nie dotkniesz. komnatę mieć będziesz nie izbę, wolę ci dam we wszystkim...“ — „A jakże będzie ze ślubem?“ — spytałam. — „A! ślub to już w cerkwi być musi, po naszymu... Bez ślubu nie wzięłbym ciebie, a i tybyś sama nie chciała“...

Zawsze-ć to ślub! myślałam. Lepszy taki niż żaden... I zgodziłam się pójść do cerkwi, gdzie nogą dotąd nie postąpiła. Gdym o tem powiedziała Wasylowi, to zbłądł na twarzy, jak płótno, a potem jak nie ryknie płaczem, jak nie zacznie na cały głos wołać: „Ojciec! Ojciec! A wstawajcie-no z trumny! Do Maryny wstawajcie, ojciec!..“ Nie! powiedziałam sobie wtedy, nie pójdę ja do szczęścia przez te poruszone popioły ojcowskie, przez te łyzy braterskie... nie pójdę! I byłabym nie poszła, jak Bóg na niebie... O d k a z a ł a m już nawet Tymofiejowi, że żonki mieć ze mnie nie będzie, ale on wziął się na sposób. Nasłał do chaty kilku swoich, zaciągnęli Wasyla do karczmy... Coś mu tam nagadać musieli, bo zły wrócił i gniewny i pierwszy raz odkąd żyłam, rękę na mnie podniósł do bicia... Nie dotknął mnie nikt dotąd! Bicia nie było u nas we zwyczaj, a jedynaczka też byłam, głaskana... Porwałam się też, jakby mnie ukropem kto oblał, cisnęłam w Wasyla polanem, com je w rękę trzymała i jak stałam, tak wypadłam z chaty... Siostra Tymofieja niedaleko mieszkała, pobiegłam do niej powiedzieć, że choćby dziś do ołtarza pójdę... Żeby tam nie wiem co, to żoną będę Tymofieja!

Od tej godziny aż do ślubu unikał mnie Wasyl i nie spojrział nawet w moją stronę, a w wilię ślubu nie wrócił na noc do chaty... Nie wiedziałam, kędy się dziewa, myślałam, że pije w karczmie, a zresztą, taka byłam na niego zawzięta, że mi to było w s z y s t k o r ó w n o !

Dopiero kiedyśmy szli do cerkwi, zastąpił nam Wasyl drogę... Ach! sto lat gdybym żyła, nie zapomnę, jak wyglądał wtedy... Trzeźwy był, ale jak pijany się śłaniał, a oczy gorzały mu jak żuźle, gdy przeklinać zaczął i mnie, i męża mego, i dzieci, które z nim mieć będę i chleb z mojej dzieży i wszystek owoc z mego pola i dach nad moją głową... Przeklinał tak od siebie i od ojca, co w tutejszej ziemi leży i od matki, co w naszej została i od ojców, co obok matki na cmentarzu... Wszystko przeklął, co moje jest i będzie — od wszystkich — po wszystkie czasy!

Rzucili się na niego, uprowadzili, ślub wzięłam, wesele było huczne, a potem wywiózł mnie mąż do miasta, gdzie znościć mi zaczął wszystko, czego jeno zapragnęłam. Szczęśliwa byłam niby, a gdy wspomniawszy Wasyla, posmutniałam, to pocieszał mnie mąż, że on z pijaństwa rozum stracił, że takiego gadania Bóg nie słucha, a ludzie, choć usłyszą, to nawet i dbać nie powinni.

Wierzyłam... jak nie miałam wierzyć! Nie wiedziałam jeszcze, że są słowa, co jak padną, to jak kamień w wodzie: nie widać go, a on tam przecie leży na dnie i wydostać go nikt nie poradzi... Innych słów nie usłyszałam już od Wasyla, bo rok jeszcze od mego ślubu nie przeszedł, kiedy się dowiedziałam, że umarł. Zapił się na śmierć podobno, ale mnie coś gadało we wnętrzu, że on tak tę zgryzotę zapijał!

Zaledwem go oplakała, dał Bóg dziecę. Nie po naszymu je ochrzcieli i nazwali, i gdy karmiłam robaka, tom zawsze myślała, że nie cieszyłby się ojciec z takiego wnuka... Nie dokarmiłam... umarł! Umarło mi potem drugie i trzecie i czwarte... Co które spojrzy na świat Boży, to kilka jeno miesięcy popatrzy i zaraz pod ziemię się chowa... Juści, zem płakała po nich, zawsze-ć to moje były, rodzone, ale chowając je, myślałam o młodszym moim braciszku i o trojgu dziecinach Wasyla, za które co wieczór głośno modlił się ojciec: „Wieczny odpoczynek...“ Ja za swoich nie modliłam się tak ani razu! Nie wiedziałam, czy Bóg słuchać mnie będzie... za nich!

Piąte dziecko uchowało mi się dopiero — córka. Zdrowo rosła, odchowala się już spora, ale cóż z tego? albowiem to ja z tem dzieckiem mówić mogła o wszystkim, o czem w chacie słyszałam od dziecka? Moje-ć to było wprawdzie, ale nie nasze,

inną miało mowę, inną wiarę, a gdym zagadała do niej po polsku, to ojciec żartem ją niby uczył: „Nie rozumiesz, Dunia, nie rozumiesz!“ Nic też nie rozumiała, z e w s z y s t k i e m już odrodziła się odemnie... Dwanaście lat żyliśmy już wtedy z mężem i to wielkie szczęście już mnie cieszyć przestało. Nie takie to ono było i wielkie! Dostatek miałam wszelki, jadła i przyodziewku w bród, o nic nie zaboląła mnie głowa, ale już mi się stawał niemiły ten mąż, co to mąż przecie — a taki cudzy, że nie widział tego kamienia, co mi leżał na sercu i rósł, rósł coraz większy... Bywało, gdy się dowiem, że stamtąd, od nas, znowu tu biedaków zagnali, to jakby mnie kto warem oblał... Aż mnie coś podrywało, by do nich pójść, „Pochwalonym“ pozdrowić, za kolana ich podjąć, a i opatrzeć też nieco wędrowników, bo miałam, dzięki Bogu, czem się dzielić... Ale jakże ja pójde? co im powiem? czy przyjdą oni odemnie chleb niby biały, a od niezdarzonego razowca czarniejszy, bo przekleństwem brata zatruty?

I do siebie żal miałam i do męża, bo i on nie taki już jak dawniej... Odstawać zaczął od domu, z przyjaciółmi po r e s t o r a n a c h siadywał, po p o g r z e b a c h (winiarniach), nie to już było co dawniej... O interesa tylko dbał zawsze, ale co do reszty, to całkiem inny... Ha! trudno! i ja też inna się stałam. Miasto nie wieś i ze mnie nie ta to już dziewczyna, co jak kto spojrzy na nią, ona zaraz krasnieje jak wiśnia świętojanka! Lubili mi ludzie zaglądać w oczy — nie bronila... mówili, że przystojna — niech mówią... Jeszcze to nie grzech, a słuchać zawždy miło! Gadał mi tak niejedyn, aż znalazł się taki, co gadać umiał inaczej... Nie byłabym go posłuchała może, boć przecie wstyd w oczach i Boga jeszcze miałam w sumieniu, ale od tego się widzi pani zaczęło, że mi o naszych stronach jał rozpowiadać. Stamtąd co i ja był rodem, niedawno temu na pola nasze patrzył i na bory, wszystko nasze znał i wiedział, wszystko pamiętał... aż mi serce tajało, gdy mówić jał... Katolik był, a nas Unitów szanował i opowiadał jako przy wierze zostali się twardo jedni, jako zmienili się drudzy, jak narodowi do nowego obyczaju przystać trudno, jak nawet ci, co przystali, ze czcią wspominają takich, co dać sumienia nie chcieli... Słuchałam i żalność mnie brała i wstyd... Słuchałam też — aż wstydu zbyłam! Sama nie wiem, jak się stało! jakby urokiem rzucił kto na mnie, jakby otumaniał mnie czarem!

A dziewczyna sporo już podrosła, dziesiąty rok miała i mnie już dobrze po trzydziestce, choć mówili ludzie, że młodość biła mi jeszcze z twarzy... Rozmilałam się w moim

Józku okrutnie i poprzysięgłam sobie, że kiedy dla niego zgubiłam duszę, to już przynajmniej nie puszcę go od siebie, póki życia. On też, choć więcej niż o dziesięć lat młodszy, nie wyrwał się wcale . . . Kosę miałam jak u dziewczyny bujną i słówko gdyby pisnął, warkoczami ziemię zamiatałabym przed nim . . .

Rok tak przeszedł, i drugi i kilka, a my wciąż jedno i jedno . . . Mąż nie domyślał się niczego, za domem tylko siedział, a pieniądze zawsze znosił do domu . . . Aż raz, na jego i nas wszystkich nieszczęście, tknął go paraliż . . . Doktorzy zaraz powiedzieli, że nie wyzdrowieje już nigdy, ale pożyć może jeszcze długo . . . A może też i skończyć nagle, mówili. Żył! Mowę stracił, władzy ani krzty w nogach nie miał, ręce mu odjęło obydwie, a żył! Oczyma tylko wodził za nami, jakby się czegoś domyślał i bełkotał coś niezrozumiale, ale jadł, jak zdrowy i do śmierci nie kwapiło mu się ani trochę . . .

Wtedy raz pierwszy przystąpiła do mnie pokusa. Co jemu z takiego życia? — myślałam — jak pień, tkwi bez ruchu w pościeli, jak nieme stworzenie, słowa przemówić nie może . . . I już ta myśl wciąż za mną chodziła, aż raz zwierzyłam się Józkowi . . . — Gdyby umarł, pobralibyśmy się — rzekłam — a tak grzech ino i nie daj Boże wstydu! — A pewnie, że pobralibyśmy się zaraz — odpowiedział — cóż? kiedy uwziął się i żyje . . . Spojrzeliśmy sobie w oczy i nie mówiliśmy już o tem więcej . . .

Z miesiąc żył jeszcze, a potem, jakby mu wyproroczyli doktorzy, umarł nagle . . . Na nikogo nie było posadzenia, a myśmy też na ostrożności się mieli i nigdy, nigdy nie mówili, jak się to stało . . . Umarł! Pochowaliśmy go bez przeszkody i zaraz myśleć zaczęli o ślubie, bo już kiedy nowy grzech wzięło się na sumienie, to nie po to, by dłużej żyć w dawnym . . .

A tymczasem Duni mojej piętnasty rok już dobiegał. Szła w górę, jak ona topolka, co się u nas nad drogami kołysz, leczko miała, jak u panienki, bieluchne i długie, jak dostałe orzechy, ciemny warkocz. Sama świeżość i wiosna, mówię pani! A mnie już czterdziestka się dołała. Nic to! — mówię sobie — Józiek i tak mnie kocha! Ino to mnie jakoś trapiło, że ile razy o ślubie gadać pocznę, to chłopak coś mi kręci: — a to interesa pokończ po Timofieju, grosz od ludzi pościągaj — a to zawczasie jeszcze, dla oka ludzkiego poczekać trzeba trochę — a to papierów nie mam w porządku . . . Aż mrowie szło po mnie, gdy napadła na mnie myśl, że za wszystkich mój strach i mękę szczęścia tego nawet mieć nie będę, com

do niego tak się darła przebojem! — Miłosierdzie Boże nad tobą, Józiek — szeptałam, zaciskając zęby — a toć lepiejby ci się było nie rodzić! Nie dam ja ci zakpić z siebie!..

Rok mnie tak trzymał, proszę pani, i mamił... Rok! Podejrzenie miałam ino, a u z n a ć nic-em nie mogła...

Raz tylko... krztałam ja się w kuchni ze służą, Dunia moja w k o m n a c i e niby szyje... no! i Józiek tam przy niej, jako że nie wychodził już odemnie. Nagle, jakby mnie coś tknęło, jakby targnęło mnie coś we wnętrzu! Spojrzę ja... a on ją wpół trzyma, do ucha jej coś szepce... a dziewczyna w ogniach cała, głową kręci, oczy spuszcza, ale usta mu nadstawia i kłoni się ku niemu, jak ta trawa, co się pod wichrem kładzie... W głowie mi się zamroczyło... — Dunia! — nieswoim głosem krzyknęłam. — A co, m a m a s z a ? — odezwała mi się nie zaraz i jakby ją co w gardle ścisnęło. — Chodź mi zaraz tutaj!

Przyszła, jak mak polny czerwona, nadaśana niby i do płaczu gotowa. Nie rzekłam nic, służki wstyd mi było i dziewczęcia żal, nie pozwoliłam tylko odchodząc od siebie... Młode to, głupie, pocieszałam się, od tyłu lat przy nim rośnie, ot! nie wie jeszcze... Ale on! Napadłam też na niego, jak tylko na osobności go schwyciłam i błagam: „Józiek! mój ty Józiek! A opamiętaj-że się! Toż to dziecko! M o j e dziecko, rozumiesz? I u pogan, a nie wolno tak przecie, nie wolno.“ — „Co tobie, Maryna? — odburknął — z rozumu ty już babo zesła, czy co? Ot! pożartowałam trochę! Mało to razy widziałaś, jakem sadzał ją sobie na kolana, albo huśtał w ramionach pędzaka.“ I prawda! prawdę mówił... Od dziecka ją znał, jak z dzieckiem bawił się zawsze i przekomarzał.

Aż raz... o rany Boskie!.. już mi się wtedy wyklamać nie mógł... Szara była godzina, wróciłam z miasta i położyłam się o d e t c h n ą ć trochę, a oni, w drugiej siedząc k o m n a c i e, myśleli, że sami są zupełnie. I słyszę, gada jej Józiek: — „Jagodo ty moja, złotości! ze wszystkim jużes moja! Ino stara z funduszem po ojcu się uladni, to ją o ciebie poproszę.“ — „A jak nie pozwoli matka?“ — szepnęła. — „Coby pozwolić nie miała? Pozwoli! Mam ja na nią sposoby... A nie zechce? To jej powiem, jako prawda, że już ani rusz, inaczej nie można, tylko dać mi cię musi... Złęknie się wstydu i da!“

Potem nic już nie słyszałam, proszę pani... Jak przez sen pamiętam, że cichutko podniosłam się z łóżka, że z odsuniętej szuflady stolika wyjęłam rewolwer po mężu... Nie myślałam o tem, czy nabity, czy nie... wzięłam i szłam, jakby mnie pchało coś ku tym dwojgu... Siedzieli przytuleni..

widziałam ich! widziałam... Ale oni nie widzieli mnie, nie słyszeli. Cicho iść musiałam, pewnie że cicho, bo nie słyszeli mnie wcale. Podeszłam... strzeliłam raz, drugi... a potem i do siebie także... Krew mnie zalała, upadłam... Nie wiem, co się działo potem... Gdym się ocknęła, w kwaterze pełno było ludzi, hałas, policya... Mówili koło mnie, że dziewczyna odrazu na ziemię zwała się, jak drewno, głosu nie wydała ani jęku. No! i Józkowi dobrze się też dostało, choć żył jeszcze... Przez dwa dni umarł, ale przed śmiercią powiedział przy świadkach, że Timofiej... żeśmy Timofieja... Zemścił się na mnie przed śmiercią!.. A wszystko, proszę pani, z tego poszło, że nie mogłam, za nic nie mogłam być z mężem tak, jak to w Piśmie św. przykazano: jedno ciało, jedna dusza... Gdzie zaś jedna? On w swoją szedł stronę, ja w swoją... do swoich niby szłam, do swojaka... No! i zaszłam...

Głos jej złamał się łkaniem głuchem... nie już więcej nie miała mi do powiedzenia...

— — — — —

O niedolo nasza, co nad zbrodni ohydą w łzach skąpane rozpościeraszk skrzydła, o niedolo!..



J. C. Hernick

Odlewnia artystyczna, cyzelernia i fabryka wyrobów kruszcowych
we Wiedniu, X. Alxingergasse 1. 35

poleca się do wykonania odlewów pomników, figur, ornamentów, nagrobków etc. z brązu, cynku i innych trwałych kruszców, podług modeli lub rysunku. — Za wykonanie artystyczne i rzetelne zarezczęm, przesyłam kosztorysy, rysunki etc. z całą gotowicią.



Gotowa kolosalna grupa „Helios“ z cynku nadająca się do udekorowania studni i wodotrysku w wielkim ogrodzie lub placu jest tanio do nabycia. fotografie i kosztorys takowej franco.



Pomada „Phönix“

na wystawie higienicznej w Sztutgarcie 1890 odznaczona, jest wedle lekarzkiego orzeczenia i tysięcy pism dziękczynnych uznana jako jedyny istniejący, istotnie dobry i nieszkodliwy środek. aby u pań i panów wywołać pełny i bujny porost włosów, usunąć wypadanie jak i łuszczenie się. Wywołuje także u bardzo młodych panów silny porost wąsów. Zarezczęm za skutek i nieszkodliwość. — Stoik 80 ct. pocztą lub za zaliczką 90 ct.

K. HOPPE

Wien, XIV. Hütteldorferstrasse 81.



Jedyny w Wiedniu polski
SKŁAD TUTEK CYGARETOWYCH, PAPIEROŚNIC etc.
Karoliny Czerwińskiej

I. Liliengasse Nr. 1

poleca swe znane z dobroci wyroby po cenach fabrycznych.